

Paweł Becela <1974-1975> z grupy uczniów przeniesionych do Starego Sącza

"Dane nam było rozpocząć, nie było dane ukończyć"

Technikum Leśne w Mojej Woli...

W przypadku naszego rocznika TYLKO I AŻ jeden rok szkolny. Tylko- dlatego, że dla nas pierwszy rok nauki w technikum, a w historii Technikum Leśnego w Mojej Woli ostatni rok szkolny. Jak z tego wynika, jesteśmy ostatnimi uczniami wpisanymi do księgi uczniów tej Szkoły. Czy mogliśmy przypuszczać, że tak potoczy się historia edukacji w szkole średniej?

Ale od początku...

Parafrazując Wieszcz można by zawołać "O roku ów" - 1974!. Kto ciebie widział w naszym kraju, ten pamięta młodzież / głównie męską / z dalszych i bliższych miast, miasteczek, siół i zaścianków spieszącą do znanej , leśnej uczelni, w miejscowości o dziwnie brzmiącej nazwie Moja Wola.

Byłem wśród tej umundurowanej i krótko ostrzyżonej młodzieży, na której twarzach malował się - mniej lub bardziej ukrywany - strach. Kiedy dotarłem na miejsce, moim oczom ukazał się park, w którym znajdował się pałac obity z zewnątrz korą dębową - nasz internat. Za internatem jakieś budynki i las, czyli przysłowiowy koniec świata, tak przynajmniej wtedy pomyślałem. Zadałem sobie pytanie ;"Kto sprawił, że się tutaj znalazłem?". Odpowiadając, w dużym stopniu musiałem przyznać, że mój Ojciec - kochał las, mimo, że nie był z lasem bezpośrednio związany; następnie dobry kolega, który już dwa lata wcześniej rozpoczął naukę w Mojej Woli - mam na myśli Pawła Stasińskiego, w dalszej kolejności to była moja decyzja, a na końcu / co nie znaczy, że w najmniejszym stopniu / zdecydował nieodłączny towarzysz naszego życia - przypadek.

Zamykam oczy i widzę, jakby to było wczoraj, główne wejście do internatu. Wchodzę. Po lewej stronie jest dyżurka wychowawców. Tutaj ma miejsce mój pierwszy kontakt z internatową rzeczywistością. Za biurkiem siedzi młody mężczyzna, który energicznym głosem zadaje pytania. Jak się niebawem okaże mężczyzną tym jest Bogdan Golczak - od tego momentu mój wychowawca w internacie, a za pewien czas również wychowawca mojej klasy. Padają pytania. Imię? Nazwisko? Czy masz dres? W tym momencie przeżyłem pierwszy szok - nie miałem dresu. Wychowawca poinformował mnie, że jeśli do końca tygodnia nie będę go miał, nie będę uczniem tej szkoły. Można sobie wyobrazić, jakie myśli kłębiły się w głowie biednego piętnastolatka, a rodzice byli daleko. Po tym wstępie wychowawca zaprowadził mnie schodami w górę, do sali, w której miałem mieszkać - nie pamiętam niestety numeru tego mojego nowego "mieszkania". Wiem tylko, że jak na tamte warunki była to jedna z mniej licznych sal - dziewięcioosobowa. W porównaniu z tzw. kolchozem i sowchozem, gdzie mieszkało po kilkunastu uczniów, był to prawdziwy luksus. Jeżeli pamięć mnie nie myli, mieszkaliśmy w pokoju z następującymi kolegami; Markiem Andrzejakiem, Markiem Biegańskim, Andrzejem Bigajem, m. Andrzejem Chwedziakiem, Leszkiem Cierniakiem, Zbyszkim Grabowskim, Grzegorzem Furmańskim i Marianem Fabisiakiem. Pierwsze nasze nieśmiałe rozmowy ograniczały się do personaliów oraz miejsc zamieszkania. Ważnym elementem w budowaniu koleżeńskiego zaufania było wspólne wyjście na papierosa - to był początek tworzenia się więzi.

Tak wyglądał nasz ostatni dzień wakacji - 31 sierpnia 1974 roku.

Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego zaczęło się od apelu na placu przed internatem / tego, na którym przez cały rok szkolny odbywały się ranne apele mundurowe przed wyjściem do szkoły /.

Wtedy po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć i usłyszeć Dyrektora Szkoły - Pana Adamczewskiego. Dalszy ciąg miał miejsce w auli internatu. Dla nas najważniejsza była prezentacja grona profesorskiego / wymieniam z pamięci i z góry przepraszam, jeżeli kogoś pominąłem /; pan Adamczewski, państwo Junikowie, państwo Petelscy, pan Zaprzalski, pan Kopras, pan Gomółka, pan Dziekan, pan Sambor, pan Stekiel, pan Durlak, pan Kędzia, pan Ziółkowski, pan Golczak.

Wychowawczynią naszej klasy została pani Junik, którą później zastąpił pan Golczak.

Po części oficjalnej uczniowie klasy pierwszej odbyli wycieczkę po najbliższym terenie. Musieliśmy zorientować się co gdzie jest. Najbliżej internatu znajdował się budynek administracji szkoły, nieco dalej budynki z salami dydaktycznymi. Dowiedzieliśmy się wtedy, że są dwa budynki szkolne tzn. nowa szkoła, bliżej internatu - tutaj odbywały się główne zajęcia z przedmiotów zawodowych, i tzw. stara szkoła albo szkoła za rzeczką, oddalona od internatu o kilkaset metrów. W tym budynku mieliśmy zajęcia z przedmiotów humanistycznych, matematycznych i wychowania fizycznego. Od starszych kolegów dowiedzieliśmy się, że uczący tutaj profesorowie to tzw. "silna grupa pod wezwaniem". Nieco później przekonaliśmy się, że nie było w tej nazwie większej przesady.

W trakcie zwiedzania odwiedziliśmy jeszcze ogród botaniczny profesora Zaprzalskiego, bażantarnię, strzelnicę, ogrodnictwo i parę innych miejsc.

Od 2 września zaczęło się normalne życie szkolno-internatowe. Normalne dla tych, którzy mieli przynajmniej jeden rok takiego życia za sobą. Dla nas - pierwszoklasistów - wszystko było od początku nienormalne. Pierwszym zaskoczeniem była wiadomość, że w internacie nie ma sprzątaczek, dbałość o porządek jest obowiązkiem uczniów. Biorąc pod uwagę, że internat mieścił się w byłym pałacu myśliwskim, gdzie sale były duże i wysokie, długie korytarze, dużo schodów i wiele innych zakamarków, miejsc do sprzątania naprawdę nie brakowało. Wkrótce przekonaliśmy się, że ważną osobą w internacie jest dyżurny ogólny, który m.in. odpowiadał za porządek. Musiał więc wyznaczyć uczniów do sprzątania rejonów ogólnych /wszystkiego poza salami sypialnymi/; było to bardzo niewdzięczne, ale konieczne zadanie.

Innym dziwactwem, na początku, były dla nas apele mundurowe, odbywające się codziennie rano, przed pójściem do szkoły. Wychowawcy sprawdzali stan osobowy uczniów, a następnie stan mundurów: czy są czyste, czy mają wszystkie guziki, czy spodnie wyprasowane są na kant, czy buty są wyczyszczone, zimą - czy pod spodniami są kalesony. Tutaj muszę przyznać,

że przez piuerwszych kilka dni spóźniałem się na lekcje, ponieważ na apelu byłem odsyłany do prasowalni. Moje spodnie miały kilka kantów. Na szczęście /dla mnie/ nie byłem jedynym, który początkowo miał problemy z posługiwaniem się żelazkiem.

Wspomniałem wyżej, że internat znajdował się w dużym parku, o który trzeba było dbać. To również było obowiązkiem uczniów. Każda klasa jeden raz w tygodniu miała swój "parkowy" dyżur po to, aby park wyglądał jak park.

Nie będę rozpisywał się na temat lekcji, szanownych profesorów z którymi mieliśmy przyjemność /czasami większą, czasami mniejszą/ te lekcje przeżywać. Nie będę przytaczał mniuej lub bardziej preawdopodobnych historii związanych z profesorami i ich zajęciami, które krążyły wśród braci szkolnej. Uważam, że pisać na te tematy mogą nasi starsi koledzy, którzy przeżyli w Mojej Woli przynajmniej kilka lat.

Nasza szkoła, nasz internat, nasz park, nasz wspaniały zespół muzyczny "Sylwan" tworzony przez chłopaków z klasy trzeciej / w tym miejscu nie mogę odmówić sobie przyjemności wymienienia z imienia i nazwiska członków zespołu/; Grzegorz Kwiatkowski - gitara solowa, Jurek Kwiatkowski - gitara i instrumenty klawiszowe, Paweł Stasiński - gitara basowa, January Wawrzyniak - perkusja.

Nasz szkolny hymn, nasze mundury, o które nauczyliśmy się dbać....nagle okazało się, że to nie jest nasze, że tak naprawdę my - profesorowie i uczniowie tej szkoły - mamy najmniej do powiedzenia, jeżeli chodzi o jej być albo nie być.

Okazało się, że o tym decydują panowie w sztywnych kołnierzykach, siedzący za ministerialnymi biurkami w dalekiej Warszawie.

Tacy właśnie panowie przyjechali do naszej szkoły i zaczęli wymyślać różne przyczyny / przynajmniej takie informacje do nas wówczas docierały/ ,które miały tłumaczyć kjonieczność likwidacji szkoły; za dużo żelaza w wodzie, wymiary sal lekcyjnych nie spełniają przepisów bhp i inne tego typu bzdury.

Ponieważ na głupotę nie ma lekarstwa, szkoła, która coraz bardziej stawiała się nasza, przestała istnieć. Dzisiaj wiemy, że o takim stanie rzeczy zdecydowały układy personalne oraz niezdrowe ambicje. Opinia społeczności szkolnej nie była w ogóle brana pod uwagę. Zakończenie roku szkolnego 1974/1975 było smutne. My, uczniowie, dowiedzieliśmy się gdzie możemy kontynuować naukę po wakacjach. Każda klasa została przeniesiona do innej szkoły. Nasz rocznik miał dalej uczyć się w Starym Sączu, gdzie wg panów z ministerstwa, czekały na nas wyśmienite warunki; nowa szkoła z kompleksem rekreacyjno-sportowym, m.in. z basenem. Wyobraźnia ludzka jest nieograniczona o czym przekonaliśmy się niebawem. 31 sierpnia 1975 roku zaczęliśmy / nie wszyscy, ponieważ niektórzy zrezygnowali z nauki w tak wyśmienitych warunkach/ zjeżdżać do internatu na ul. Daszyńskiego w Starym Sączu. Okazało się, że rzeczywistość nie miała nic wspólnego z ministerialną wyobraźnią. Żadnej nowej szkoły i żadnego basenu. W internacie mieszkali uczniowie różnych szkół średnich, co absolutnie nam nie przeszkadzało. A już na pewno nie przeszkadzał nam fakt, że internat był koedukacyjny, a więc dziewczyny były na miejscu. Dla nas, po roku spędzonym w męskim internacie, było to bardzo miłe zaskoczenie. Takich niespodzianek pojawiło się wiele, ale pominę je milczeniem. Ponieważ nie mieliśmy własnego budynku szkolnego, korzystaliśmy z sal lekcyjnych w technikum chemicznym, z czego nie wszyscy miejscowi decydenci byli zadowoleni. Nasze technikum było szkołą zupełnie nową na tamtym terenie, a my, będąc w klasie II, byliśmy najstarszymi uczniami w tej szkole. To my zaczęliśmy tworzyć tam nową historię historii Technikum Leśnego w Starym Sączu. Szybko okazało się, że młodzież w zielonych mundurach cieszyła się sympatią miejscowych górali, co pomogło nam w zaaklimatyzowaniu się. Technikum rozwijało się i zaczęło wrastać w miejscową tradycję. W tym miejscu koniecznie muszę wspomnieć naszego Dyrektora / mieliśmy ich kilku ale ten był jedyny w swoim rodzaju/ Pana Henryka Pigulskiego. To głównie dzięki jego umiejętnościom - nie tylko pedagogicznym i dydaktycznym - szkoła nasza zaczęła się coraz bardziej liczyć w środowisku, co nie miało nam w przyszłości wyjść na dobre. Stary Sącz. Dziewczyny / niektóre na całe życie/ , pierwszy dla nas koncert Budki Suflera w miejscowym kinie /nadal przechowuję kartkę z autografami muzyków/ , wspaniali ludzie ze swoją góralską filozofią, góry cudowne o każdej porze roku, Klaryski odgródzone od nas wielkim murem, góra Parkowa, z której roztacza się widok na całe miasto, ścieżki nad Popradem - miejsce częstych uniesień i zawodów miłosnych, przytulny rynek i bar "Pod dzwonkiem" i wiele, wiele innych miejsc. Już zaczęliśmy się do nich przyzwyczajać, już zaczynaliśmy nieporadnie naśladować miejscową mowę, byliśmy rozpoznawani z imienia i nazwiska przez niektórych mieszkańców i my także ich rozpoznawaliśmy. Spędzone tam dwa lata szkolne sprawiły, że zaczęliśmy się czuć prawie jak u siebie. Chociaż w pewnym momencie musiał od nas odejść dyrektor Pigulski, nie przypuszczaliśmy, jest to początek kolejnego dla nas końca. Wakacje 1977 nie były udane. Na kilka dni przed rozpoczęciem kolejnego roku szkolnego do koleżanek i kolegów z klasy dotarł list polecony, z którego dowiedzieliśmy się, że do Starego Sącza nie mamy po co przyjeżdżać, gdyż tamta szkoła i tamto środowisko nie są już nasze. Od 1 września możemy rozpocząć naukę w Biłgoraju. I tyle! Na wiadomość/ jak się później okazało/ zareagowaliśmy bardzo podobnie; najpierw niedowierzanie, potem wściekłość, a na końcu rezygnacja. Kiedy telefonicznie upewniłem się, że większość jedzie do Biłgoraja / było to wtedy województwo zamojskie/ , nie mogłem zdecydować inaczej. I znowu wszystko od początku, chociaż już trochę łatwiej wkraczaliśmy, w nowe środowisko - w końcu wcześniej przeżyliśmy Moją Wolę i Stary Sącz. Z powyższego względu traktowano nas tam jak recydywistów - skoro po raz trzeci zostali przeniesieni, to coś z nimi jest nie tak. My również uważaliśmy, że nie jest

to normalne, tym bardziej, że nie znaliśmy wtedy powodów, dla których musieliśmy opuścić Stary Sącz. Wychowawcą naszej klasy IVc został poan Grzegorz Dobrzyński. Początkowo nie było nam łatwo przekonać się do siebie nawzajem, ale w końcu się udało i myślę, że pan Grzegorz nie wspomina nas najgorzej. Ponieważ nikt nie chciał / nie mógł/ powiedzieć nam, dlaczego przeniesiono nas ze Starego Sącza do Biłgoraja, postanowiliśmy zwrócić się z tym pytaniem do ministerstwa. Napisaliśmy list i przyjechał do nas pan Tadeusz Rejman, który w ministerstwie odpowiadał za szkolnictwo. W trakcie dyskusji powiuedził nam, że w Starym Sączu był zbyt niski poziom nauczania i zostaliśmy przeniesieni, aby w nauce zrównać się z innymi klasami IV. Tłumaczenie podobne, jak w przypadku likwidacji Mojej Woli, a więc bzdurne. Później okazało się, że znów zdecydowały nieuzasadnione ambicje i układy. Wracając do poziomu nauczania. Szybko okazało się, że osiągamy najlepsze wyniki w nauce i to inni musieli starać się, aby nam dorównać. Pan z ministerstwa rozbawił nas swoimi wypowiedziami na tyle, że zaproponowaliśmy, aby w następnym roku szkolnym przeniesiono nas do Warcina nad morzem, gdyż jeszcze tam nie byliśmy. Prośba nasza nie została spełniona i ostatnie dwa lata uczęszczaliśmy do Technikum Leśnego w Biłgoraju. Tam również zdawaliśmy maturę i jesteśmy absolwentami tego właśnie technikum. Niestety, te przerzucania nas z miejsca na miejsce spowodowały, że część przeniosła się do innych szkół. Z ponad 40 rozpoczynających naukę w Mojej Woli do matury w Biłgoraju dotrwało 25, a właściwie 21 - 4 chłopaków dołączyło do nas w Starym Sączu, wcześniej chodzili do Technikum Leśnego w Lesku. Tak wygląda, w dużym skrócie, historia naszej klasy-niezwyczajna historia, niezwykłej klasy. W dziejach techników leśnych w Polsce nie ma chyba klasy, której dane było przeżyć historię podobną do naszej.

W ubiegłym roku minęło 30 lat od momentu jak rozpoczęliśmy naukę w Mojej Woli, i 25 lat lat od jej ukończenia w Biłgoraju. W tym roku minie 30 lat od rozwiązania Technikum Leśnego w Mojej Woli. Nie wiem, jak wyglądała by historia naszej klasy,gdyby nie decyzja o likwidacji Mojej Woli. Wiem jedno - podróż kształcą. Czasami pytam sam siebie, czasami pytają inni "Gdybyś mógł ponownie przeżyć te 5 lat swojego życia,czy wybrałbyś ponownie naukę w Technikum Leśnym w Mojej Woli, czy dokonałbyś innego wyboru?". Trudno odpowiedzieć jednoznacznie na tak postawione pytanie. Trudno, tym bardziej mnie, który odszedł dość daleko od lasu i spraw związanych z leśnictwem - jestem nauczycielem historii.

Udzielając odpowiedzi na powyższe pytanie /również sobie/ posłużę się trochę zmienionym fragmentem książki Marii Rodziweiczówny "Lato leśnych ludzi". Niech będzie to jednocześnie zakończeniem moich wspomnień.

< " Pozdrowiony bądź, Mistrzu, cudów piękna i mądrości Stworzycielu! Ty jesteś z nami w każdym kształcie, dźwięku, woni i z Tobą myśmy te lata przeżyli. Niech Ci będą dzięki za dzień każdy i za każdą chwilę, niech Ci będą dzięki, żeś nam otworzył oczy i uszy, by Twoje piękno zrozumieć i żyć nim, jak chlebem. Zachowaj, Ojcze, nas i to, co po sobie w różnych miejscach zostawiliśmy, a z czym żyliśmy przez te lata, jako bracia w całości i mocy, i zdrowiu. Serca nasze, Ojcze, na światy rozszerzaj, myśli nasze ku Twej mądrości kieruj i, jak w tamtych latach, bądź naszym władcą i prawem!">